Wioska wdów

Paulina Wilk 28-02-2009, ostatnia aktualizacja 28-02-2009 03:25

Nie wszystkie dziewczyny zjawiają się w wiosce same. Po niektóre trzeba jechać, wyszarpać z dramatycznych okoliczności i zabrać do szkoły. Bo wyrzezane zostaną wymienione na krowy



autor zdjęcia: Paulina Wilk
źródło: Fotorzepa
Mieszkanki wioski ze swoją opiekunką Hellen (druga od prawej)



autor zdjęcia: Paulina Wilk
źródło: Fotorzepa
Naserian i Naimi mogą w wiosce kontynuować naukę, unikając wczesnego zamążpójścia
+zobacz więcej

Mary przyszła bez butów. Starzec, któremu została oddana jako ósma żona, zmarł. Bydło padło w czasie suszy, nie było co jeść. Ktoś powiedział, że na południu mieszka Hellen i pomaga takim jak ona.

Ruszyła w drogę razem z siostrą. Ją także ojciec zabrał ze szkoły i chciał wydać za mąż w zamian za krowy. Nauczyciele protestowali, straszyli sądem, bo w Kenii, gdy dziecko raz rozpocznie edukację, ma prawo ją ukończyć. Nawet matka sprzeciwiła się ojcu, ale ją pobił. Kiedy wyszła ze szpitala, dołączyła do córek. Teraz wszystkie żyją w wiosce wdów – w Madżi Moto.

Słońce zachodzi, Mary wczepiła się dłońmi w metalową siatkę, patrzy na zagrodę pełną kóz. Zwierzęta się przepychają i hałasują uwieszonymi na szyjach dzwonkami. Trwa codzienny

rytuał liczenia. Po zagrodzie krążą dwie kobiety – obie noszą na plecach noworodki ciasno zawinięte w chusty. Maluchy śpią, a nawet jeśli nie, oczy i tak mają zamknięte – po ich buziach nieustannie wędrują muchy, zasłaniają policzki i wyschnięte usta.

Jednej kozy brakuje, kilkanaście jest chorych. Mają biegunkę, chudną i szybko padają. To przez suszę. W porze deszczowej centrum wioski zajmują krowy otoczone płotem ze splątanych kijów. Teraz jest tam pusto, bo bydło – jak mówią Masajki – wyemigrowało. Powierza się je mężczyznom z sąsiedztwa, a oni zabierają je kilkanaście, może kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie jest dość zielonej trawy. Zagroda zmieniła się więc w plac zabaw – dzieci ze wszystkich dziewięciu lepianek zbiegły się na to sezonowo udostępnione boisko. Ganiają wokół, dźgają suchą ziemię patykami. Półtoraroczna dziewczynka z nieprzytomnym wyrazem twarzy, jakby w półśnie albo gorączce, ciągnie za sobą kawał drewna. Inna, w niemiłosiernie obszarpanej sukience, bawi się lalką bez nogi.

Jest i zagubiona kózka, dwulatek Kotoine ściska pod pachą jej głowę zadowolony ze znaleziska. Nagle, jakby w przypływie miłości do zwierzęcia, rzuca się na nie i lekko wgryza w łaciaty grzbiet. Mary tylko ogarnia dzieci wzrokiem, nie ma powodów, by się denerwować. Ani czasu – dziś jej przypadł dyżur w kuchni. Będą gotowane ziemniaki, warzywa i trochę mięsa. Jak tylko jej pomocnica Naserian wróci od rzeźnika.

Postępowa zagroda

Mary mówi niewiele, a już na pewno ani słowa o tym, jak tu trafiła. I nigdy o córeczce, którą wkrótce potem urodziła. Wychowuje ją sąsiadka, a odkąd Mary chodzi do szkoły, nawet o dziecko nie pyta. – Dziewczynki trafiają tu w stanie szoku – mówi Hellen. – Długo nie mogą się odnaleźć. Na początku źle radzą sobie z nauką.

Tak było z Mary: rok temu na końcu szkolnych statystyk, teraz już w czołówce. Najbardziej lubi nauki ścisłe, ale nie umie powiedzieć dlaczego. Ogoloną głowę wciska między ramiona i uśmiecha się wstydliwie. Ma 14 lat i już nigdy nie wyjdzie za mąż, bo masajski zwyczaj nie pozwala na to wdowom. Niczego też po mężu nie odziedziczyła. Żeby przetrwać, musi jakoś zarabiać, coś umieć. Podobnie jak ponad 30 kobiet i dziewcząt, które mieszkają teraz w wiosce Hellen.

Te starsze specjalizują się w masajskiej biżuterii, spędzają dnie na siedząco, oparte o zbudowane z krowiego łajna lepianki, nawlekając małe koraliki na żyłkę. Koraliki są z Czech, żyłka też importowana. Najczęściej powstają bransolety, sztywne kolie i okrągłe kolczyki z migoczącymi w słońcu blaszkami. W nadziei, że do wioski zawitają nie tylko Kenijczycy, ale i biali, wdowy rozpoczęły produkcję zdobionych pasków do spodni oraz smyczy dla psów. Zdobyły się na pragmatyzm, choć wciąż nie mogą uwierzyć, że Europejczycy przystrajają zwierzęta i wyprowadzają je na spacery. W ofercie są też rungu – rzeźbione w drzewie oliwnym pałki, którymi Masajowie zabijają zwierzęta.

Cały asortyment leży wokół krowiej zagrody na czerwonych chustach; obowiązuje samoobsługa. Kiedy Hellen jest poza wioską, buchalterię prowadzi Mary. Dochód trafia do autorek biżuterii, ale od każdego sprzedanego przedmiotu pobierany jest procent i wliczany do wspólnego budżetu. Stąd pieniądze na kolejne kozy i kury.

Wioska wdów to najbardziej ekskluzywne i najnowocześniejsze w okolicy skupisko lepianek. 300 metrów dalej jest beznadzieja: chatki się zapadają, zamiast okien mają małe dziury w

ścianach. W środku nic nie widać, ale i patrzeć nie ma na co. Chyba że na nierówne klepisko, palenisko z gliny, czasem szmatę albo zapchlony materac do spania. Staruszka wciąga mnie wewnątrz, trzyma mocno za rękę. Bardzo boli ją głowa, może mam jakąś tabletkę. Ściska dłoń z determinacją, jak ktoś, kto nie może stracić szansy. Tu – w afrykańskim buszu – bieda jest osamotniona, oddzielona od nadziei kilometrami, godzinami drogi. Ale przede wszystkim niewiedzą, brakiem świadomości, że tę drogę można pokonać.

Nie widzę jej twarzy, czuję tylko gorące łzy na porżniętych zmarszczkami policzkach. Na zewnątrz, w oślepiającej jasności, czeka już banda dzieciaków. „Daj mi" – to jedyne, co umieją powiedzieć po angielsku. Powtarzają słowa uporczywie, już nauczone, że nie ma innego wyjścia. Nie ma zmiany – jest tylko trwanie, bierne czekanie na okazję, która nie zjawia się często. Nie wśród tych chatek, które starość coraz bardziej dociska do ziemi, w tej scenerii wychudzonych krów i obszarpanych T-shirtów.

Dziesięć minut spaceru wśród kolczastych akacji i jest się u Hellen, czyli prawie w Europie. Tu zaczyna się inna przestrzeń mentalna: przestrzeń postępu. Czas ma trzy wymiary, wczoraj różni się od dziś, a najważniejsze jest jutro. Bo jutro może być lepsze. Chaty są przestronne, w jednej – tej dla uczennic – na dużych łóżkach wygodnie sypia nawet kilkanaście dziewczyn. Mają stoły, szafki, książki, kredki, trochę zabawek. Jako ozdoba na ścianie wisi szara koszulka z hasłem: „Nie wymieniajcie dziewcząt na krowy, dajcie im edukację".

W mniejszej lepiance, która służy Hellen za biuro, jest centrum ładowania. Energia pochodzi z zamontowanej na dachu baterii słonecznej – daru z zagranicy. Okoliczni mieszkańcy przynoszą telefony komórkowe i akumulatory latarek. Chwilowo interesem zawiaduje 11-letni Bonifacy, jedna z ofiar zamieszek po ubiegłorocznych wyborach. Trafił tu razem z siostrą, są sierotami.

Chodzi do szkoły w oddalonym o 60 kilometrów Narok, a Hellen nazywa matką, bo dba o niego i daje mu ubrania. Jedyne, czego mu teraz trzeba, to latarka czołówka. Jest przekonany, że ja ten problem rozwiążę, i wyjeżdżając, zostawię mu własną. Ale nie mówi: „daj mi", tylko długo argumentuje swoją prośbę. W szkole światło gaszą o 18, a on chciałby wieczorami czytać.

Czarownica na ratunek

Dziewczyny nie zawsze zjawiają się same, jak Mary. Czasem trzeba po nie jechać, wyszarpać z dramatycznej sytuacji. Po Naini Hellen jechała aż do Nakuru, siedem godzin autobusem.

– Rodzice i brat zmarli na AIDS, zamieszkałam z ciocią – 14-letnia dziewczyna stara się mówić składnie, ale nie może złapać tchu. – Torturowała mnie. Trzymała w zamknięciu i nie pozwalała chodzić do szkoły.

Jedna z sąsiadek powiadomiła Hellen, ta walczyła o Naini tydzień. – Dziś mija rok, odkąd tu przyjechałam. Jestem w raju – Naini nie może powstrzymać łez. Jest w trzeciej klasie liceum i już postanowiła, że zostanie prawnikiem, żeby pomagać kenijskim dziewczynkom. Jak wszystkie dziewczyny z „rodziny" Hellen chodzi do szkoły z internatem, na wakacje przyjeżdża do wioski wdów. Wbrew nazwie do wsi trafiają także sieroty, schorowane staruszki, dziewczyny, które nie chcą wychodzić za mąż albo uciekają przed wyrzezaniem.

Hellen ma sporo wrogów, niektórzy nazywają ją wiedźmą. Nawet matka mówiła jej: – Przestań niszczyć naszą kulturę. – Niczego nie chcę niszczyć – zapewnia tęga, elegancko ubrana kobieta. – Po prostu wiem, że edukacja to najpotężniejsza broń. I ten, kto się nią nie posługuje, będzie się wlókł w ogonie świata.

Sprzeciwia się wyrzezaniu dziewcząt, bo wkrótce po zabiegu przestają uczęszczać na lekcje i wychodzą za mąż. Tak jak ona. – Czwarta klasa szkoły podstawowej to kluczowy moment – mówi. – Miałam 11 lat, zostałam wyrzezana, a rok później ojciec zabronił mi chodzić do szkoły misyjnej w Narok i zaaranżował małżeństwo. Mieszkałam z mężem tylko cztery dni, bo na szczęście zjawiła się zakonnica i odwiozła mnie do szkoły. A ojca za naruszenie prawa aresztowała policja.

Skończyła liceum, chciała zostać nauczycielką. Na czesne za college zarabiała, pędząc nielegalnie piwo. Nie miała nawet pieniędzy na mydło, dlatego pod prysznic po zajęciach chodziła ostatnia, licząc, że któraś ze studentek zostawiła choć kawałek. Przyłapała ją nauczycielka, kupiła potrzebne rzeczy i załatwiła stypendium.

Zaraz po studiach Hellen zaczęła ratować innych. Jeździła po wsiach i odbijała zabrane z zajęć dziewczynki. Wieści o niej niosły się od wsi do wsi, teraz jej nazwisko kojarzone jest nawet w odległych częściach Kenii. Coraz więcej kobiet zjawia się z prośbą o pomoc. – W wiosce jest tłok, nie mamy gdzie ich umieszczać. Dlatego jestem taka wdzięczna Polakom. Spełnili moje marzenie.

W styczniu ruszyła w Madżi Moto zbudowana przez polskich wolontariuszy prywatna szkoła z internatem współfinansowana przez nasz MSZ. W zerówce już odbywają się zajęcia, dzieci przybywa. Ich edukację, za pośrednictwem fundacji, sponsorują m.in. osoby z USA i Polski. Szefową szkoły jest Hellen, a gwarantem bezpieczeństwa – Salaton, lokalny wódz masajski, który uczestniczył w zakupie działki i jest właścicielem wioski wdów – chaty stoją na jego ziemi. Nauka masajskich dzieci to tylko część głębokiej społecznej zmiany, która właśnie się tam rozpoczęła.

Ginekologia w lepiance

Masajowie są dla kenijskiego rządu niewidzialni, z perspektywy Nairobi – mało ważni. Nikt nie policzył dokładnie, ilu ich mieszka przy granicy z Tanzanią, w całej Masaj Marze i Serengeti. Może być 2 albo 5 milionów. Żyją w nawiasie, z jednej strony nieszkodliwi i nieprzydatni, z drugiej – traktowani jak popisowy numer, największa turystyczna atrakcja plemiennej Afryki. Na ich urodzie i barwnych strojach dorabiają się inni: ludy Kikuju i Luo. A Masajowie albo kurczowo trzymają się tradycji, albo ją porzucają – wyjeżdżają do Mombasy i wkładają dżinsy. Tkwią tam w na poły kryminalnej wegetacji – nic nie umieją, nie wiedzą nawet, co znaczy pracować.

Jedynym namacalnym dowodem, że rządowa machina dociera do Madżi Moto, jest państwowa szkoła podstawowa. – Niestety, całkowicie nieprzystosowana do warunków wiejskich – wyjaśnia Marta Miłkowska, szefowa polskiej grupy wolontariuszy. – Program nauczania jest taki sam w całym kraju. Świetny dla tych, którzy mają szansę skończyć liceum, ale dla dzieci, które chodzą do szkoły najwyżej kilka lat – nieprzydatny. One nie muszą znać historii Europy, potrzebne im czytanie, liczenie, język angielski. I kursy praktyczne.

Nie można ich wprowadzić w szkole państwowej, stąd pomysł zbudowania prywatnej placówki, która przygotuje Masajki i Masajów do ról kucharzy, kelnerek, przewodników turystycznych, kierowców, sekretarek i nauczycielek. Do szkoły będą przychodzili też dorośli. W stojącej obok ochronce zamieszkają dziewczynki, z czesnych i stypendiów będą opłacane ich mundurki, pomoce naukowe i posiłki. – Spędziłam w Ameryce dwa miesiące, jeździłam i błagałam – Hellen uderza pięścią w udo. – Znalazłam sponsorów, przywiozłam osiem wielkich worów pomocy naukowych. Wybłagałam nawet 500 ołówków! Dziewczynki muszą mieć na miejscu wszystko, tylko wtedy rodzice nie zabiorą ich i nie wymienią na krowy.

Każdy rok spędzony w szkole działa na korzyść dziewczyny: im później zostanie wyrzezana, tym później wyjdzie za mąż i zacznie rodzić – wzrosną szanse przeżycia jej i dziecka. Teraz wyrzezaniu poddawane są zwykle dziewczynki między dziewiątym a 11. rokiem życia. Po roku lub dwóch zachodzą w ciążę.

Polacy sprowadzili do wsi lekarza, który odbył rozmowę z tzw. mamami, kobietami zajmującymi się rytuałem. – Baliśmy się, że w ogóle nie zechcą rozmawiać – wspomina Miłkowska. – Tym bardziej że lekarz pytał wprost: jak dużo wycinacie.

Mamy nie mają żadnego przygotowania, po prostu dziedziczą funkcję. Miłkowska: – O zabiegu wiedzą tyle, ile pamiętają z własnych doświadczeń, a o kobiecym ciele tyle, na siebie popatrzą.

W najlepszym razie wyrzezają potężnym masajskim nożem, w gorszym – żyletką albo kamieniem. Tną, aż dobrną do kości. Zostawiają dziewczynkę na kilka dni z nogą przywiązaną pod sufitem, żeby rana się zagoiła. Opatrunków się nie stosuje, wśród Masajów lekarstwem na wszystko są krowie odchody albo skwaszone mleko. Gdy po roku ta sama dziewczyna rodzi, pojawiają się komplikacje – nie można zatamować krwawienia.

Masajki były zszokowane, gdy się dowiedziały, że używając przy wyrzezaniu jednego narzędzia, zakażają dziewczynki chorobami, m.in. wirusem HIV. – Nie mogły uwierzyć, że to, co zesłali im przodkowie, jest szkodliwe, przynosi cierpienie – mówi Miłkowska. – Ale zgodziły się na spotkanie z kobietami chirurgami, które mogłyby je nauczyć wyrzezać delikatniej.

Oficjalnie szkolenie dotyczyło wyłącznie położnictwa, bo wyrzezanie jest w Kenii zakazane.

Miss wiejskiej edukacji

Do pobliskiej podstawówki chodzi jedna niewyrzezana Masajka. Jest wyszydzana i gnębiona. Nie oszczędzają jej nawet koleżanki z innych plemion, które tego rytuału nie praktykują. Dla Masajek wyrzezanie to symboliczne wrota do kobiecości, ale ważniejsze, że dziewczyna może wreszcie być kimś. Dzieci niewiele znaczą, do czwartego roku życia uchodzą za istoty bezrozumne. Tylko noworodki uważane są za święte, bo łączą ludzi z ich przodkami. Bez wyrzezania nie ma ślubu. A status kobiety zmieni się, dopiero gdy zostanie matką.

Salaton i Hellen wierzą, że z czasem uda im się przenieść tę praktykę w sferę symboliki – zachować trzydniową ceremonię z tańcem i śpiewem, ale zrezygnować z samego zabiegu. – Masajowie chętnie uczą się nowości, ale nie pod przymusem – mówi wódz.

Niepiśmienne staruszki i młode mamy z dziećmi obsiadły nową szkołę, tulą się do ścian, do cienia. Patrzą na 18-letnią Mohini, jak wygłasza podziękowanie dla polskiego rządu. Nie rozumieją, bo mówi ładną, literacką. Miejscowa piękność, wysoka i smukła, jest ucieleśnieniem sukcesu. Jako pierwsza w wiosce wdów ukończyła liceum, teraz amerykańska fundacja wysyła ją na kurs komputerowy. Nie ma męża ani dzieci, tylko świetlaną przyszłość. Od razu widać, że nie pasuje do buszu: trzyma się prosto, co rusz poprawia włosy jak gwiazda. W tej eleganckiej białej bluzce i czarnej spódnicy pewnie lepiej czułaby się na uniwersytecie w Nairobi.

Mary, Naini i Naserian trzymają się z tyłu. W zmechaconych mundurkach, grubych podkolanówkach i potężnych półbutach nie prezentują się tak dumnie. Ich twarze, przedwcześnie zasmucone, zdyscyplinowane jakimś uporczywym skupieniem, nieczęsto uwalniają uśmiech. Nawet kiedy dzień później Hellen rozpakowała plecak z podarowanymi ubraniami, w lepiance uczennic nie było wybuchów radości. Dziewczyny czekały w napięciu, ale cierpliwie. Wyciągały ręce, dopiero gdy opiekunka wywołała ich imię. Każdy coś dostał i od razu wkładał na siebie. Nawet mały Kotoine, którego szybko przebrano z zakurzonych łachmanów w jaskrawe spodenki i różową koszulkę. Naserian włożyła wszystko naraz: spódnicę na spodnie, dwie bluzki, a strój ukoronowała opaską na włosy. Naini odwrotnie: starannie złożyła ubrania i spakowała do torby. Jakby pamiętała, że kolejna pomoc może nie przyjść jutro, a gdy się żyje na kredyt czyjejś dobroci, lepiej być oszczędną. – Przyślij mi książkę – prosi na pożegnanie. – Najlepiej grubą, o historii. Prawnicy muszą znać historię.

Rzeczpospolita